

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Odyseusze z Maisons-Laffitte

Gdzież są Erynie, które by runęły na zmotoryzowane kwadrygi Germanów i rozszarpały opancerzone załogi? Gdzie Meduzy, od których spojrzenia zamarłyby serca barbarzyńców? (...) Gdzie Chimery, które by rzuciły się w powietrzu na bombowce?

Józef Wittlin: *Żałoba po Helladzie*¹

Na rynek we Lwowie z czterech stron, jak cztery wiatry, wpadają ulice. Wiatr wiejący ze wschodu, po grecku zwany Apeliotes, wciskający się tutaj ulicami Dominikańską (Stawropigijjska) i Ruską (Ruśka), pachnie spalonymi książkami i zapowiada barbarzyńców. Od setek lat ciągnęło stamtąd zawsze to samo mongolskie plemię, wychodzące z cienia jak zaprawiony w bojach złodziej pralek i odkurzaczy (podczas ostatniej napaści Rosji na Ukrainę wywożonych nawet wojskowymi helikopterami). Ponieważ lwowianie mienili się Europejczykami i od wieków znali obyczaje barbarzyńców, zainwestowali w firmę ubezpieczeniową prosperującą na Starym Kontynencie najdłużej – w Olimpijczyków. Sprowadzono z Wiednia Hartmana Witwera, który przed rokiem 1815 na każdym rogu placu, będącego salonem Lwowa, gdzie zawsze można było ukraść wiele zegarków, ustawił posągi z wapienia. Tak więc od dwustu lat lwowianie odbywają spacery wokół Neptuna i jego małżonki Amfitryty, choć do najbliższego morza jest z tego miejsca 600 kilometrów², a także całymi rodzinami okrążają figurę bogini lasów Diany oraz jej nieszczęsnego wielbiciela Adonisa, mimo iż na nizinnej Ukrainie można mówić jedynie o lasach słoneczników.

Nie ma większego sensu pytać, jaka naprawdę skłonność sprowadziła tutaj tak egzotyczne towarzystwo i co mają do roboty Homerowi bohaterowie na kulturowym rozdrożu dzielącym przedmurze Europy od przedsiönka Azji. Przywykliśmy przecież, że Wschód od Zachodu oddziela symboliczna architektura, ale we Lwowie granica przebiega głębiej, dosłownie pod ziemią, jakby sama natura potwierdzała ludzkie wybory. Józef Wittlin w *Moim Lwowie* podaje jako fakt naukowo dowiedziony, że gdy deszcz zrasza kościół św. Elżbiety (a także kilka innych budynków w okolicy dworca kolejowego), to krople spadające ze spadzistego neogotyckiego dachu od zachodniej strony płyną aż do

¹ J. Wittlin: *Żałoba po Helladzie* (w:) tegoż: *Orfeusz w piekle XX wieku*. Paryż 1963, s. 130.

² Ze Lwowa do Odessy jest w linii prostej 621 km, natomiast do Gdańska tylko o kilometr więcej, co dawną stolicę Galicji nie tylko sytuuje w miejscu centralnym na przebiegającej przez Europę Wschodnią osi Północ-Południe, ale też dodatkowo czyni naturalną stolicą Międzymorza.

Bugu, potem do Wisły, aby stamtąd przedostać się do Bałtyku. Natomiast te opadające na kościół od wschodu suną podwodnymi źródłami do Dniestru, zasilającego Morze Czarne. Mowa tutaj o tak zwanym Wielkim Europejskim Dziale Wodnym – czy potrzeba wyrazistszego symbolu oddzielenia Zachodu od Wschodu, potwierdzonego hydro- i geologicznie? Nie znaczy to, że trzy mile za Lwowem jesteśmy już na Wschodzie, skoro Berdyczów, gdzie uczono łaciny i hebrajskiego, zawsze pozostawał bardziej europejski niż Moskwa, gdzie swego czasu delectowano się francuszczyzną. Jeśli więc nie tylko ziemia, ale nawet woda od razu dzieliła się we Lwowie na pro- i antyeuropejską³, dziś aktualniejsze niż kiedykolwiek są w tym miejscu posągi Posejdona, Amfitryty, Diany, a nawet podglądacza Adonisa. Po inwazji hord Putina na Ukrainę w lutym 2022 roku zostały zakutane przez lwowian w worki z piaskiem, ponieważ teraz to one potrzebowały obrony – w czasach pokoju zrobiły swoje, trzeba je przechować na czas po wojnie, kiedy znowu będą najbardziej potrzebne. Lew przed lwowskim ratuszem musi przypominać w ich otoczeniu lwy na bramie w Mykenach, skąd Agamemnon wyruszył na wojnę razem z Odyseuszem.

Nasuwa się swoją drogą pytanie, dlaczego mistrz Witwer z całego panteonu olimpijskiego wybrał te właśnie bóstwa, opisywane w przewodnikach turystycznych po prostu jako alegoryczne wyobrażenia ziemi i wody. Neptun to naturalnie bóg trochę mniejszego kalibru niż Zeus, ale jednak atrakcyjny, chociażby jako monogamista, w dodatku obdarzony małżonką niewątpliwie efektowną, co na antyczną modłę rzeźbiarz wyeksponował i co na pewno, nie miejmy złudzeń, trafiło w bardzo mieszczkańskie gusta lwowian. I tak samo musiała się podobać cnotliwa Diana (rzeźba bogini jest pierwszorzędną), broniąca swego honoru przed pięknym efebem nieznanym *savoir vivre*'u (zresztą figura Adonisa najmniej się mistrzowi udała). Na dość okropny fakt, że psy towarzyszące Dianie chłopca rozszarpały, we Lwowie pewnie odpowiedzą, że wstydliva Zeusówna, szczując młodzieńca psami, chciała go tylko nastraszyć, ale psy, jak małe konie, zagalopowały się.

A byliście na Łyczakowie? Widzieliście Hypnosa, Charona, wcieleń kapłanek z Erechtejonu i sobowtóra pięknego Marka Antoniusza na grobie Jędrzejowiczów – chitony i tuniki rzuciły się wam w oczy? Rzymskie sandały i trefione fryzury Greczynek zauważyliście? Stanisław Vincenz twierdzi, jakoby Pauzanasz, w II wieku n.e. dający opis najstarszego cmentarza Aten, „w takich jak my odnalazł właściwych czytelników”, albowiem pisał swe itinerarium w okresie niezwykle podobnym do czasów nam współczesnych: po wyniszczających wojnach, powodujących wyludnienie Grecji ze względu na zburzenie większości miast i sanktuariów. Zdaniem Vincenza znalazłby on w łyczakowskim cmenterionie odpowiednik Keramejkosu – przeniesiony w przyszłość,

³ Z perspektywy starej Europy Morze Czarne, z Konstantynopolem nad jego brzegiem, stanowi wewnętrzny akwen dawnego Bizancjum, a więc niewątpliwie – domenę Wschodu. Jednak przyroda trochę temu przeczy, wskazując raczej na opozycję północ-południe: Morze Czarne ma bowiem wspólne zlewiska z Morzem Śródziemnym i Adriatykiem, podczas gdy Morze Bałtyckie z Morzem Północnym. Więcej o konkurencyjnej wobec tradycyjnie przyjętej antynomii Wschód-Zachód osi Północ-Południe zob. M.A. Cichocki: *Północ i Południe. Teksty o polskiej kulturze i historii*. Warszawa 2018.

lecz pełen odniesień do swego attyckiego poprzednika. Pauzaniasz jest przekonany, że „Grecja przestała wydawać na świat dzielnych”, ponieważ kultura grecka leżała w gruzach. Czy nie dlatego na Starym Kontynencie Greków i Rzymian zobaczyć już można co najwyżej w muzeach archeologicznych (zdaje się, utrzymywanych dla amerykańskich turystów i Japończyków)? Śródziemnomorski mit został w Europie wyrugowany z przestrzeni życia, nie mając Europejczykom już nic do zaoferowania także w perspektywie śmierci. Tutaj, na samym krańcu europejskiej cywilizacji, przed cmentarną kaplicą Dunin-Borkowskich, wyobrażoną w formie świątyni greckiej, mistrz Witwer ustawił młodego mężczyznę do złudzenia przypominającego Apollina. Harmonia, a więc umiejętność zgrania przeciwieństw, kojarzona z tym jeszcze jednym zmieszczalym Olimpijczykiem, spośród wszystkich cech typowo greckich zdaje się być cechą najbardziej lwowską.

Oczywiście, wszystko to łatwo jest usprawiedliwiać panującym wówczas klasycyzmem. We Lwowie jednak ten klasycyzm zapuścił korzenie i jak niektóre kapryśne rośliny wspaniałomyślnie się przyjął. Może widmo barbarzyńców było w tym miejscu silniejsze? Czy nie tak trzeba – a nie tylko można – tłumaczyć sobie fenomen Zbigniewa Herberta? Ostatecznie to tu, do Lwowa, do polis poety – „weszli barbarzyńcy”. Ukształtowany we Lwowie Herbert został „klasycystą” doskonałym. Tutejsze przywiązanie do mitologii trudno przecież wyjaśnić programem nauczania w ówczesnych szkołach, aczkolwiek Jan Parandowski, autor najpopularniejszej *Mitologii*, na której wychowuje się kolejne pokolenie Polaków, naturalnie urodził się we Lwowie. Jednak te trochę baśniowe historie brano na poważnie chyba dlatego, że na cywilizacyjnych kresach przywiązanie do mitu Europy ratowało życie. Stąd zapewne siła jego promieniowania na umysły ludzi wychowanych w różnych tradycjach. Spójrzmy na trzech największych klasycystów na emigracji: jeden był synem mistrza Wielkiej Łoży Narodowej Polski, drugi żydowskiego właściciela ziemskiego, a trzeci galicyjskiego nafiarczyka o korzeniach włosko-francuskich. A przecież w każdym miejscu wybór życia w żywiole piękna, dobra i prawdy powodował egzystencjalne dramaty, bo upodobanie do „klasycyzmu” kosztuje.

Jerzy Stempowski, określany twórcą „polskiej szkoły eseju”⁴ (do jego następców zalicza się nawet Gustawa Herlinga-Grudzińskiego), wychował się, by tak rzec – w samym centrum pogranicza. W okolicy wyjątkowo płodnej w pisarzy mających wyostrzone rozumienie granic Europy, przestrzeni kurczącej się na ich oczach do wymiaru wyłącznie duchowego, której wspomnienie daje się jeszcze wywołać tylko w murach starych miast na kontynencie. Położone nad odnogą Dniestrzu Szebutyńce Stempowskich od zachodu sąsiadują z Czerniowcami

⁴ Jej zasięg i rangę ustalił Jan Tomkowski w antologii *Polski esej literacki* (Wrocław 2018), wymieniając wśród cech gatunkowych eksponowanych przez Stempowskiego przede wszystkim niezależność i dystans wobec świata zniewolonego różnymi totalitaryzmami, finezyjne operowanie cytatem oraz *poszanowanie dla klasyków i korzystanie w każdej chwili z tradycji śródziemnomorskiej*. Tak rozumiany esej, pisany w pierwszej osobie, stając na pograniczu literatury i filozofii, pod wpływem Stempowskiego (publikującego przed wojną niewiele) najpełniejszy wyraz znalazł w ogłoszonej w roku 1936 *Podróży do piekieł* przedwcześnie zmarłego Bolesława Micińskiego.

Paula Celana i Kołomyją Stanisława Vincenza, natomiast od wschodu z Serbami Juliana Wołoszynowskiego, autora *Opowiadań podolskich*, umiejscowionych „w najpiękniejszej dolinie, jaką Bóg zarzucił w stepach Pobereża” – książki sprawiedliwie uznanej za arcydzieło polskiej nowelistyki dopiero przez Marka Nowakowskiego. Z kolei na północ od Szegotyniec znajdziemy Berdyczów, skąd (via Kraków) uciekł w świat przyszły Joseph Conrad. Cały ten archipelag podolskich miasteczek otacza kresową twierdzę w Kamieńcu Podolskim, aby w ten aż jaskrawy sposób dosięgnąć symbolu. A punktem odniesienia dla nich wszystkich pozostaje Lwów, będący bramą do Krakowa, Wiednia, Rzymu. W orbicie Lwowa przyszli na świat – Józef Wittlin w Dmitrowie, Joseph Roth w Brodach – najwierniejsi kronikarze tej łacińskiej i bizantyńskiej, ale też palestyńskiej i tatarskiej, a więc w gruncie rzeczy hellenistycznej mozaiki, składającej się na śródziemnomorski wymiar Europy. Teraz ten obszar krystalizacji europejskich sentymentów znowu staje się miejscem, gdzie na nowo trzeba wybierać między Rzymem i Moskwą, a może raczej między Atenami a Persepolis. To coś znacznie większego niż uczucia patriotyczne.

Stempowski uchodził za człowieka nieczułego, a już na pewno nie okazującego uczuć publicznie, i chyba tylko raz w towarzystwie zapłakał, ale ten szloch żadnemu z jego czytelników do dzisiaj nie pozwala o sobie zapomnieć. Te łzy czyste, rześiste Stempowskiego polały się w domu Bolesława Micińskiego, skąd roztaczał się widok na przełęcz nad Grenoble – gdy patrzył przez okno na dawną rzymską drogę, został poinformowany, że ciągnęły nią kiedyś wojska rzymskich cesarzy, po raz ostatni Juliana Apostaty. Wtedy, tylko raz, z jego oczu popłynęły łzy, i padły słowa: *Gdyby mój ojciec nie podsunął mi pism Juliana Apostaty, kiedy miałem trzynaście lat – moje życie potoczyłoby się zupełnie inaczej*⁵...

Nie wiemy jak, nie wiemy nawet, co dokładnie chciał nam (a konkretnie żonie Micińskiego) pan Jerzy powiedzieć, być może jednak znaczyło to, że musiał pozostać wierny komuś, kto pragnąc cofnąć czas, poniosł klęskę. Nie dało się już powrócić do epikurejskiego ogrodu, pod portyki świątyń, gdzie rzeczy przymierzano do rzeczywistości, lecz nie ośmielano się przekraczać granicy sceptycyzmu. Ten czas dawno się skończył i Stempowski także już nie mógł wrócić do właściwej ojczyzny, która – jak sam najtrafniej określił to tytułem swojej ostatniej książki – rozpościerała się „od Berdyczowa do Rzymu”. Uznawał to marginalne miejsce na mapie Europy, które wyznaczył mu los – czuł się Polakiem, często na Zachodzie określał się wschodnim Europejczykiem, co bynajmniej nie znaczyło, że kimś gorzej poinformowanym; najpewniej wierzył w korzyści patrzenia z dystansu. Zwłaszcza że to właśnie w tym miejscu, na styku cywilizacji, w młodszej Europie – gdzie nie od dzisiaj decydują się losy całego kontynentu – na początku czas zaczął się kurczyć.

Wittlin ukuł nawet na określenie emigranta termin „destiempo” – człowiek pozbawiony czasu, czyli nieodzownego do życia wymiaru,

⁵ H. Micińska-Kenarowa: *O Jerzym Stempowskim* (w:) B. Miciński, J. Stempowski: *Listy*. Oprac. A. Micińska, J. Klejnocki, A.S. Kowalczyk. Wprow. H. Micińska-Kenarowa, K. Régamey. Warszawa 1995, s. 22.

którego istotą jest ciągłość. Tego czasu – czytamy w *Blaskach i nędzach wygnania* – który upływa obecnie w jego własnym kraju. Czas na wygnaniu jest zupełnie inny. Jest to czas nienormalny, prawie że obłąkany. Wygnaniec bowiem żyje w dwóch różnych czasach jednocześnie: w teraźniejszości i w przeszłości. Życie przeszłością bywa niekiedy intensywniejsze od życia teraźniejszością i tyranizuje całą jego psychikę⁶. Autor „fizjologii literatury emigracyjnej” zwraca uwagę na konsekwencje płynące stąd dla pisarzy: *Nasz język nie zawiera już elementów powstałych w kraju w czasie naszej nieobecności, mimo iż pilnie śledzimy wszystko, co tam się pisze. Żywą mowę naszego kraju poznajemy z drugiej ręki*⁷. A przecież Stempowski, jak cesarz Julian, nie umiał żyć w świecie pozbawionym czasu i świadomie wszedł w rolę herolda przegranej sprawy, to znaczy bezpowrotnie skazanej na śmierć Europy. Odzyskiwał w ten sposób czas utracony.

Że nie ma do czego wracać (co nie znaczy, aby stale nie próbować), przekonał się w domu przyjaciela i najbliższego ucznia, w którym widziano jego następcę, a który umarł młodo, pozostawiając nam tylko wspaniałą *Portret Kanta*, nie zdążywszy już ukończyć studium poświęconego ostatniemu cesarzowi przywiązany do starych bogów (pod wpływem mistrza, patrząc na „dawną rzymską drogę”, tak jak Stempowski pierwsze, on ostatnie świadome chwile poświęcał Julianowi). Tak czy owak, gdy czas płynął jeszcze „po staremu”, rzymscy cesarze (i niemieccy filozofowie) przez Polskę przedostali się na Ukrainę, bo to tutaj przecież odkryli ich przyszli autorzy paryskiej „Kultury”. Na Ukrainie światło śródziemnomorskie, przedzierając się tam – via Wiedeń i Lwów – promieniowało też na prowincję, do wszystkich tych miasteczek, gdzie łaciny w gimnazjach klasycznych uczyli Żydzi (tak jak w Berdyczowie Bruno Schulz uczył rysunków). Właśnie takiemu nauczycielowi z rodzinnej Kołomyi – *Pamięci Zachariasza Dembicera, nauczyciela greki w I gimnazjum kołomyjskim* – zadedykuje swój tekst *Iliada* Stanisław Vincenz. Nic więc dziwnego, że Sokrates, mieszkający także w Kołomyi jako tutejszy bałagula Bjumen Petranker – jeden z bohaterów *Barwinowego wianka* – wypowiada ważną dla Vincenza naukę (zasłyszaną przezeń w swojej małej ojczyźnie, będącej także ojczyzną Stempowskiego): *Jeśli dwóch kłóci się, a jeden ma rzetelnych 55 procent racji, to bardzo dobrze i nie ma się co szarpać. A kto ma 60 procent racji? To ślicznie, to wielkie szczęście, i niech panu Bogu dziękuje. A co by powiedzieć o 75 procentach racji? Mądrzy ludzie powiadają, że to jest bardzo podejrzane. No, a co o 100 procentach? Taki, co mówi, że ma 100 procent racji, to paskudny gwałtownik, straszny rabuśnik, największy łajdak*⁸. Cechą ludzi pogranicza była zawsze skłonność do wstrzemięźliwości w sprawach ostatecznych. Może dlatego – jak podaje Stempowski – w Złoczowie za jego czasów Żyd Zukerkandel we własnej drukarni wydawał „Bibliotekę Klasyków Rzymskich i Greckich”.

⁶ J. Wittlin: *Blaski i nędze wygnania* (w:) tegoż: *Orfeusz w piekle XX wieku*, dz. cyt., ss. 145-146.

⁷ Tamże, s. 148.

⁸ S. Vincenz: *Barwinowy wianek*. Londyn 1979, s. 99.

Stempowski i Vincenz przekroczyli granicę polsko-węgierską we wrześniu 1939, kilka miesięcy wcześniej na skutek ataków antysemitycznych opuścił ojczyznę Józef Wittlin. Na rzymski przyczółek Mitteleuropę z zachodu runęli Germanie, a ze wschodu Mongołowie i jak tyle razy wcześniej w wielu miejscach Starego Kontynentu cywilizacja padła ofiarą barbarzyńców. Zanim to jednak się stało, czytelnicy Homera znaleźli się wśród barbarzyńców we własnym domu. Listy proskrypcyjne ukazywały się nawet mową wiązaną, jak słynny wiersz Gałczyńskiego z roku 1937, zaczynający się od słów: *Od tych Stempowskich, od tych znawców / milszy nam sąd warszawskich krawców*, i kończący się ponurą apostrofą: *ześlij, zepchnij Aniele Boży, / Noc Długich Noży* (choć, jak wiadomo, Gałczyński kiedyś napisze poemat *Niobe*: swój największy i odznaczający się rzadką u tego autora powagą utwór, poświęcony – mówiąc w największym skrócie – greckiej rzeźbie). *Okropne to były lata* – wspominał Stempowski – *Gałczyński napisał wówczas swoją „Noc długich noży”, gdzie i ja figuruję jako kandydat do zamordowania. Było nawet kilka projektów takiej „polskiej nocy św. Bartłomieja”. Pewnego dnia alarm był tak wielki, że wielu nie spało w domu. (...) Miejsce w Karpatach, w których przeszedłem granicę w 1939, oglądałem już wcześniej z myślą, że będę musiał uciekać od swoich*⁹. Wybryki Narodowej Demokracji (których nigdy nie zapomniał Czesław Miłosz) – choć głównie deklaratywne, jak inkryminowany „wiersz” – wpisywały się w ten antyeuropejski nurt. Interesujące jest jednak – i to stanie się źródłem eseistyki wszystkich naszych bohaterów – czy skoro hitleryzm okazał się zanurzeniem w mrocznej, germańskiej mitologii, a stalinizm nawrotem do mongolskiej satrapii, z której wylęgła się poczwara Moskwii, to czy da się jeszcze powrócić do Grecji?

Pytaniem tym zaczyna się XX-wieczna odyseja polskich Greków – Jerzego, Stanisława i Józefa; masona, pokuckiego szlachciury i galicyjskiego Żyda, trzech Odyseuszy, świadomych, że do Itaki już nie wrócą. Należeli do wymierającej rasy Europejczyków, którzy musieli opuścić antyczne posągi na rynku oraz cmentarze pełne greckich profili i rzymskich nosów. Ten trzeci homeryda, zlwowiały do szczętu, lecz przemieszczony aż na antypody, do Nowego Jorku, gdzie przez trzydzieści lat chorował na Europę – trzykrotnie przekładał *Odyseję*, dwa razy przed wojną i ostatni raz – na wygnaniu! Jakby na różnych etapach życia tłumaczył sobie swój los poprzez dzieło Homera. To z niego czerpie siłę, aby uwięziony nie w swoim czasie, nie okazać się jego więźniem. Być może tylko dlatego, że wśród Polaków najgłębiej zżyty był z *Odyseją*, dostrzegał w emigracji perspektywy nieosiągalne dla rodaków w kraju: *Nie zawsze wygnanie jest szkołą szaleństwa. Może też być szkołą jasnego i przenikliwego patrzenia na świat. U siebie w domu, w zgiełku życia publicznego, pisarz napotyka nieprzezwyciężone przeszkody w bezstronnej ocenie tych zjawisk. Czasami bywa współtwórcą tych zjawisk, więc trudno mu być bezstronnym. Na obczyźnie dopiero widzi wyraźnie ich kształt i rozpoznaje ich wartość. Tak niekiedy człowiek*

⁹ J. Giedroyc, J. Stempowski: *Listy 1946-1969*. T. II. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył A.S. Kowalczyk. Warszawa 1998, ss. 144-145.

dopiero w więzieniu czuje się wolny, bo odcięty od wszystkiego, co go na wolności pętało¹⁰. Tylko destiempo jest naprawdę wolny i czas swój osądza w niezawisłości od niego¹¹.

Co ci ludzie z sobą unieśli, zmuszeni uchodzić jak Eneasze ze zburzonej Troi ze starym ojcem na plecach? To oczywiście zabawne, że Europejczycy przyznają się tak samo do greckich Myken, przeniesionych na ateński Akropol, jak i do spalonej Troi, odbudowanej na siedmiu wzgórzach nad Tybrem. A jednak nasi bohaterowie nie widzieli sprzeczności między powinowactwem z Grekiem Odyseuszem i Trojańczykiem Eneaszem; Wergiliusz uczył ich miłości do ziemi, Homer godzenia się ze stratą. Zabrali więc z sobą tylko to, co się jeszcze dało w tych okolicznościach – świat niezależnej myśli, którą uważali za podstawę cywilizacji i pragnęli ocalić dla przyszłych pokoleń przed barbarzyńcami niosącymi karabiny na sznurkach i tytoń w tutkach zrobionych z inkunabułów. Trudno myśleć o nich oddzielnie, choć w niejednym bardzo się różnili. Stempowski umarł bezprizorny religijnie, na pogrzebie Vincenza zjawili się ksiądz, pop i rabin, a Żyd Wittlin został pochowany w obrządku rzymskokatolickim. Uosobieniem niezależności dla Stempowskiego pozostał Wolter, dla Wittlina niezastąpionym źródłem ekstazy św. Franciszek, Vincenzowi najbardziej ludzki wydawał się żydowski mędrzec. Tym sposobem wszyscy razem wyznawali ideę Europy w jakimś wielkim ekumenicznym skrócie. Książki, które nam pozostawili, wydane pod auspicjami paryskiej „Kultury”, nosiły jednak antyczne „stemple”.

Eseje dla Kassandry Stempowskiego w roku 1961 oraz *Orfeusz w piekle XX wieku* Wittlina w roku 1963 – kanoniczne dzieła obu wybitnych eseistów wyszły u Giedroycia. Zbiór esejów Vincenza, wydany przez „Kulturę” w 1965 roku, tylko pozornie nosi neutralny tytuł *Po stronie pamięci*, skoro rozpoczyna go tekst zatytułowany *Pauzaniasz*, będący prawdziwym hołdem dla greckiego reportażysty, o którym autor napisał: *My wszyscy, miłośnicy Hellady, znaleźliśmy w Pauzaniaszu nasz drogowskaz*¹². Trudno nie dostrzec nieprzypadkowości tych tytułowych odwołań.

Stempowski, wieszczący upadek Europy bez większych nadziei na znalezienie ludzi podzielających jego poglądy, może uchodzić za uosobienie kassandryczności. Wittlin, egzaltujący się „biedaczną z Asyżu”, dostrzegał w nim nowego Orfeusza, któremu Horacy niegdyś przypisał miano „świętego tłumacza” transcendencji. Znowu sylwetka Pauzania-sza doskonale pasuje do wielkiego „etnografa” Vincenza, opiewającego Łemkowszczyznę (mającą „greckiego” ducha) i składającego ułamki dawnego świata w osobne dzieło, jak to zresztą sam napisał po wizycie w muzeum wiedeńskim na widok posągu Izydy aleksandryjskiej – *spojonego z marmuru rozmaitego rodzaju i w kilku kolorach, a jednak bardzo jednolitego*¹³. Fakt, że wszyscy razem stali się klientami Giedroycia, wystawia Redaktorowi najlepsze świadectwo. Może to nie przypadek, że

¹⁰ J. Wittlin: *Blaski i nędze wygnania*, dz. cyt., s. 149.

¹¹ Tamże, s. 148.

¹² S. Vincenz: *Pauzaniasz* (w:) tegoż: *Po stronie pamięci. Wybór esejów*. Paryż 1965, s. 13.

¹³ Tenże: *Dantyzm w Polsce* (w:) tegoż: *Po stronie pamięci...*, dz. cyt., s. 132.

symbolem Instytutu Literackiego była grecka kolumna? W końcu tylko ona ostała się na grobie założyciela „Kultury”¹⁴ – podtrzymywała polską tożsamość, ale też coś trwalszego i większego: europejską cywilizację.

Całą trójkę eseistów wiele łączy – czuli się Polakami z Kresów i dla wszystkich łacina stanowiła intymny język. Lecz nie mniej ważne (a przy wyborze podejmowanych przez nich tematów najistotniejsze) jest to, co dzieli masona Stempowskiego od przechrzczonego Żyda Wittlina oraz bezreligijnego wyznawcę idei Boga – Vincenza. Zanim przyjrzymy się bliżej Stempowskiemu, zwróćmy uwagę na Wittlina, fascynację św. Franciszkiem posuwającego tak daleko, że w liście do Kazimierzy Żuławskiej napisze wprost: *Obecnie ważę w sobie, czy po skończeniu „Odysei” i kilku drobniejszych prac – nie przechrzcić się i nie wstąpić naprawdę do franciszkanów. Chciałbym zostać kaznodzieją. Mam do tego powołanie*¹⁵. Córka Wittlina zauważyła: *Wiele razy podróżował do Asyżu, gdzie nawet mieszkał u mnichów, by lepiej poznać życie swego duchowego mistrza. Był to paradoks, bo pojechał tam, żeby oddalić się od napadów prasy endeckiej. Oprócz tego istniało duże podobieństwo w wyglądzie zewnętrznym między moim ojcem a św. Franciszkiem uwiecznionym przez Giotto*¹⁶. Podobnie gdy Vincenz pisze o Dancie, że ten „używał języka, który był mu dany”, to jest „języka wierzeń i teologii chrześcijańskiej”, a jednak w istocie jego intuicja religijna prowadziła go do „metafizyki powszechnej” – mówi o sobie! On tak samo jak Dante zgarniał wszystko, *co mu było dostępne z tej dziedziny (...) jak magnes, który przyciąga opiłki*¹⁷. Natomiast Stempowski 13 grudnia 1940 roku w *Zapiskach dla zjawy* zanotował: *Dziś wieczorem wysłuchałem odczytu na temat nieśmiertelności duszy. Ileż błędnych sądów, cóż za brak gustu!*¹⁸

Zjawą jest przecież Ludwika Rettingerowa, platoniczna ukochana, przywoływana w *Zapiskach...* wiele razy: *Towarzyszyla mi wierna i jak zwykle nieco smutna zjawka Ludwiki. Ze spokojem przyjmowała moje dywagacje. Pokazywałem jej stare kamienne słupy graniczne (...). Po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że wybrałem tę odludną ulicę, sądząc, iż jej się spodoba, i że mówiłem, chcąc ją rozerwać, złagodzić jej czysciec, rozproszyć jej smutek*¹⁹. Tymczasem w innym miejscu, jakby ta czułość nam się przywidziała, istnienie „zjawy” Stempowski zaneguje: *Egzystencja cieni, o której mówi Achilles: lepiej być ostatnim pośród żyjących niżli królem pośród cieni. Nie ma zatem najmniejszego powodu, by się jej ucześcić, by w nieskończoność przedłużać grę, która nie gwarantuje nawet pięciu minut zabawy. Nie warto nawet wskazywać na możliwość takiej egzystencji i wbrew zdrowemu rozsądkowi wierzyć w rzecz równie*

¹⁴ W książce Hanny Marii Gیزی *Ostatnie lato w Maisons-Laffitte* (Wrocław 2007) na zdjęciu nagrobka Redaktora zrobionym krótko po jego śmierci (w listopadzie 2001 roku) widnieje sama kolumna. Potem, gdy do brata dochowany zostanie Henryk Giedroyc, pojawi się też czarny krzyż.

¹⁵ P. Kądziała: *Posłowie* (w:) J. Wittlin: *Święty Franciszek z Asyżu*. Warszawa 1997, s. 81.

¹⁶ *Fotografie pamięci*. Z Elżbietą Wittlin Lipton rozmawia Wojciech Waliszewski. „Kurier Plus” 2005 (17 grudnia).

¹⁷ S. Vincenz: *Dantyzm w Polsce*, dz. cyt., s. 117.

¹⁸ J. Stempowski: *Zapiski dla zjawy oraz Zapiski z podróży do Delfinatu*. Tekst ustalił, przeł. i posł. opatrzył J. Zieliński. Przedm. W. Karpiński. Warszawa 2004, s. 62.

¹⁹ Tamże, s. 26.

potworną²⁰. Stempowski, Wittlin i Vincenz należą do różnych duchowoświatów, a przecież bez reszty spaja ich to samo przywiązanie do romańskiego dziedzictwa, stanowiącego jakby kościec ich tożsamości, mimo że jeden mądrości szuka u Woltera, drugi wierzy świętym Kościoła, a trzeci pilnie słucha cadyków.

Stempowski był człowiekiem niereligijnym (Jan Kott nazwał go nawet „głęboko niereligijnym”), a przecież niereligijność, tak samo jak jej przeciwieństwo, dziedziczy się po rodzicach, jak dobre wychowanie czy skłonność do książek. W *Pamiętnikach* ojca, Stanisława Stempowskiego, obok zdania: *Jurek miał wiele wrodzonego i z domu wyniesionego sceptycyzmu w sprawach religijnych*²¹, znajdujemy także dość zabawny ustęp, jak półtoraroczny Jerzyk, przez miejscowego księdza ochrzczony trochę podstępem, na jego „łacińskie czytania” miał wypalić: „dosyć tego bełkotania!”²². Potem, już jako gimnazjalista, chcącego zaciągnąć go do kaplicy katechetę odepchnął tak mocno, aż duchowny się przewrócił i ojciec syna ze szkoły odebrał. A jednak w Niemczech młody Stempowski został twórcą nowej religii. Otóż gdy mieszkał tam w latach studenckich, musiał wskazać swoją religijną przynależność i określił się wtedy – chyba nie dla żartu, lecz całkiem szczerze – jako wolterianin. Był to gest niezależności, natomiast po latach, przeglądając niemieckie statystyki z tamtych lat, w spisie deklaracji wyznaniowych znalazł rubrykę „wolterianie”, przy której widniała cyfra „1”. To pokazuje, że zawsze był sam, samojeden, i broniąc duchowego désintéressement pozostawiał ślady, wyglądające na kaprysy, choć były imponderabiliami. Święta była dlań niezależność, w pewnym sensie dał się za nią „ukrzyżować”, nie zakładając rodziny, mieszkając przez całe życie pod cudzym dachem, zarabiając na chleb dzięki honorariom od Giedroycia, notabene za teksty zawsze znakomite. W końcu taką samą cenę za pełną niezależność myślenia płacił Giedroyc – może i o Redaktorze dałoby się powiedzieć, jak mówił o Stempowskim Wittlin, że wierność własnej wizji rzeczywistości prowadziła go do „wiedzy gorzkiej, ale radosnej”²³?

Z czasem Stempowski upodabniał się do swoich bóstw, Halina Micińska zauważyła, jak *uśmiechał się, podnosząc wysoko kąciki ust w półksiężyc, nieco jadowitym uśmiechem greckiego kurosa*²⁴. W *Zapiskach dla zjawy*, ostatnim i najbardziej osobistym tekście, sam Stempowski widział na swojej twarzy raczej „wolteriański uśmieszek”. Zresztą, jak Marek Aureliusz, Julian Apostata, a może przede wszystkim Petroniusz, pozostał nieczuły na ideę nieśmiertelnej duszy, wyrzekając się wszelkich egzystencjalnych kompensacji: *Utraciłem nadzieję, poniechałem dalszej walki, a przecież żyłem nadal i jeden po drugim następowały bezbarwne dni. Przy pełnej świadomości umysłu wiodłem żywot bez znaczenia, nudny, absurdalny; pozbawiony nadziei, nie miałem przed sobą żadnego*

²⁰ Tamże, s. 62.

²¹ S. Stempowski: *Z „Pamiętników” (fragmenty) (w:) „Pan Jerzy”. Śladami niespiesznego przechodnia. Wspomnienia i szkice o Jerzym Stempowskim*. Red. J. Timoszewicz. Warszawa 2005, s. 13.

²² Tamże, s. 10.

²³ J. Giedroyc, J. Wittlin: *Listy 1947-1976*. Opracowali, wstępem i przypisami opatrzyli R. Habielski i P. Kądziała. Warszawa 2017, s. 246.

²⁴ Cyt. za „Pan Jerzy”. *Śladami niespiesznego przechodnia...*, dz. cyt., s. 208.

celu, ot „animula pallida blandula”²⁵ – jak mawiał jeszcze jeden z jego ulubionych przedchrześcijańskich cesarzy, Hadrian. A przecież podobnie pisał do matki 10 lat wcześniej jako 19-letni Jurek: *Tymczasem ja nie wiem wcale, jak żyć, co i po co robić z sobą, i dlatego nie wiem, co lepsze dla mnie, a co gorsze, i w decyzji już nie mam chyba czym się powodować oprócz koloru obić na ścianach*²⁶. Być może w tym trzeba widzieć istotę jego flâneuryzmu, nieustannego przyglądania się światu z pozycji niespiesznego przechodnia, owego ciągłego przemierzania przestrzeni, bo jedyne miejsce spoczynku pozostaje niedostępne – jak u Gombrowicza, który chodzi, chodzi, bo nie ma dokąd wrócić. Sam Stempowski podsumował własne życie w zgrabnym gnomonie (kiedyś napisał, że chciałby przejść do historii jako autor takiego tekstu): *Żyję i walczę o swoje życie z napierającą na nie nicością*²⁷. Walczył z nią, jak zawsze na swój sposób.

Z listu do Józefa Czapskiego wiemy, że nad łóżkiem powiesił sobie sztych Williama Hogartha, przedstawiający postać mężczyzny wydającego ostatnie tchnienie (z ust konającego, w formie dymu wypuszczanego z fajki, odrywa się jakby komiksowa chmurka z napisem „Finis”). Na sztychu znajdziemy też: zburzony dom, szubienicę z wisielcem, pochyłe drzewo, roztrzaskaną paletę malarską, a w ręku umierającego list ze słowami: „Resztę zapisuję chaosowi”. Stempowski informuje Czapskiego: *Każdego dnia patrzę z wielką przyjemnością na ten sztych. Gdyby mój dom zaczął się palić, wyniosłbym zeń nasamprzód ten sztych, mimo że jego miejsce w historii sztuki jest mi wiadome i jasne*²⁸. Tego rodzaju strzępy informacji rodziły opinie o jego wyniosłości, ekscentryzmie i braku uczuć, lecz pełno jest w tym życiu obrazków jakby z całkiem innej parafii, jak ten zanotowany przez Jana Kotta, kiedy Andrzej Stawar, sam jak palec w paryskim szpitalu, żegnał się z życiem: *Stempowski towarzyszył mu do ostatnich chwil; włożył mu protezę do pustych ust i zamknął oczy. Oddał mu ostatnią posługę*²⁹.

I jeszcze jedno znamienne wydarzenie, w którym sam Stempowski dostrzega „pewien element magiczny”, co w ustach tego sceptyka miało swoje znaczenie. Gdy po ucieczce z kraju zapadł na ciężkie zapalenie płuc, spędzając wyjątkowo śnieżną zimę z roku 1939 na 1940 w kryjówce przemytników w Karpatach (i myśląc wówczas jeszcze o powrocie do kraju), ci przynieśli mu jedyne rzeczy pozostałe po rozmaitych uciekinierach – książki. *Przemytnik Andrijko zjawił się, niosąc na plecach worek; postawił go w kącie. Kiedy pokój rozgrzał się zupełnie, rozwiązałem worek i zacząłem wyjmować książki jedną po drugiej. Pierwsze ukazało się dobre wydanie Horacego, potem „Metamorfozy”, potem „Bukoliki” i „Georgiki” Wergiliusza i paru poetów łacińskiego odrodzenia...*³⁰

²⁵ J. Stempowski: *Zapiski dla zjawy...*, dz. cyt., s. 62.

²⁶ S. Stempowski: *Z „Pamiętników” (fragmenty)*, dz. cyt., s. 23.

²⁷ J. Stempowski: *Zapiski dla zjawy...*, dz. cyt., s. 27.

²⁸ Tenże: *Listy*. Słowo wstępne J. Kott, W. Karpiński. Posł. A.S. Kowalczyk. Wybór i red. B. Toruńczyk. Warszawa 2000, s. 39.

²⁹ J. Kott: *Listy Kassandry z ziemi berneńskiej* (w:) „Pan Jerzy”. *Śladami niespiesznego przechodnia...*, dz. cyt., s. 188.

³⁰ J. Stempowski: *Księgozbiór przemytników* (w:) *Polski esej literacki. Antologia*. Wstęp i opr. J. Tomkowski. Wrocław 2018, s. 477.

Niezwykła scena (pewnie dlatego Tomkowski ze wszystkich utworów Stempowskiego właśnie ten umieścił w swojej *Antologii*) – człowiek, jak by nie było światowy, pewny swych racji intelektualista, za jednym zamachem pozbawiony wszystkiego: ojczyzny (a nawet wieści o niej), przyjaciół (także nieprzyjaciół – nie ma w promieniu wielu kilometrów osoby mówiącej po łacinie), możliwości swobodnego rozporządzania sobą samym, na granicy życia i śmierci (dodatkowo traci pamięć, którą próbuje rozruszać, przypominając sobie łacińskie nazwy lekarstw), ma wokół jedynie paru starożytnych autorów. Od tego, co od nich w tym momencie usłyszy, zależy jego przyszłość.

Przy temperaturze poniżej -30°C , otoczony górami potęgującego ciszę śniegu (*Następnego dnia po moim przyjeździe, wskutek mrozu i zasp, koleje stanęły na całym Zakarpaciu na 35 dni*³¹; najwidoczniej ten „magiczny” moment został przez naturę starannie zaplanowany), w popułej „rozmowie” z największym epikiem rzymskim zdecydował się na los emigranta. To Wergiliusz przekonał Stempowskiego, że wierność ziemi – amor terrae – można praktykować także na wygnaniu, a tym samym przygotował go do ekspatriacji. Po lekturze *Georgików* Stempowski postanowił obrazy ukochanej ziemi (w końcu przede wszystkim Karpaty stanowiły jego prywatną ojczyznę) zaczerpnąć głęboko w siebie i z *nadejściem wiosny pieszo, idąc od wsi do wsi, zawsze bocznymi drogami*³², w przebraniu zbieracza starożytności opuścił górzystą Itakę. Marsz to uroczysty, pogrzebowy, lecz pełen też najwyższego skupienia, kiedy żadnego szczegółu nie wolno przeoczyć („chciałem wynieść dokładny, wergiliański obraz”³³). Mistrzowski opis tego pożegnania wart jest przywołania: *Wygnaniec opuszczający swój kraj zaczyna instynktownie czepiać się ziemi, chłonąc ją oczami, jak gdyby chciał ją całą przechować w pamięci. Nie ma na niej już więcej nic do zrobienia, żadna myśl pragmatyczna nie mąci intensywności jego kontemplacji*³⁴. Wówczas być może także postanowił – choć z powodzeniem praktykował to już na mniejszą skalę w Polsce międzywojennej – wziąć na siebie niewdzięczną rolę dostarczyciela prawdy: *Jeśli Europa, zrujnowana tyłu szaleństwami, ma uniknąć zagłady, mieszkańcy jej muszą nauczyć się lepiej przewidywać skutki swoich czynów i nie mogą więcej lekceważyć tych, którzy to potrafią. Myślę tu o młodych, mających całe życie przed sobą. Kto z nich zechce ubrać płaszcz, o którym Cassandra mówi do Apollona: „W tym płaszczu proroka wystawiłeś mnie na pośmiewisko swoich wrogów”*³⁵. Ponieważ młodzi zajęci byli teraźniejszością, naciągnął go autor *Eseju dla Kassandry*.

Tylko samo życie zdolne jest do tego rodzaju hieroglificznej mowy, będąc przecież zawsze bardziej „utalentowane” niż pisarze. Swoją drogą Stempowski żywił do szyfrów szczególne upodobanie i swoje teksty dla „Kultury” podpisywał jako Paweł Hostowiec, imię wzięwszy

³¹ Tamże, s. 476.

³² Tamże, s. 484.

³³ Tamże.

³⁴ Tamże, s. 482.

³⁵ J. Stempowski: *Esej dla Kassandry* (w:) tegoż: *Eseje dla Kassandry*. Opr. i notą edytorską opatrzył J. Timoszewicz. Warszawa [2020], s. 43.

od zmarłego młodszego brata, nazwisko od nazwy domowej rzeki, jakby nadając sobie nową tożsamość – a może przez to nowy los? Los zmarłego, który musiał dźwigać, i mowę rzeki, którą słyszał w snach: *Gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłędem, posłyszał znów ten szum, lata błędzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą*³⁶. Jak Odyseusz odnowiłby się, niczego nie zapominając. Ale czy jest do czego wrócić?

Zaraz na początku *Eseju dla Kassandry* Stempowski przytacza wypowiedź Roberta Della, jak mówi, „jednego z ostatnich niezależnych dziennikarzy”, a przecież słyszy się w tych słowach samego Jerzego Stempowskiego: *Z Europy, w której wyrosłem i do której byłem głęboko przywiązany, nie zostało już nic. Jedynym logicznym wyjściem dla mnie z tej sytuacji byłoby samobójstwo. Jeżeli mimo to wciąż żyję, ma to dwa powody: jako Anglik mam odrazę do skrajnych posunięć, po wtóre mam 67 lat i w tym wieku samobójstwo byłoby wywalaniem drzwi otwartych*³⁷. Józef Czapski przypomniał inny epizod – wygnany z ojczyzny zalanej przez barbarię, wrzucony do tej starej Europy, bez której żyć nie potrafi, w modnym kurorcie Stempowski zamawia kawę. Przynoszą mu ją... zimną. Coś wtedy w nim pęka. Wstaje od stolika, schodzi na morski brzeg i idzie przed siebie, aż woda wlewa mu się prawie do ust. Rzeczywiście, nic nie zostało z Europy, a jednak do niej wraca, bo przecież „uciekać nie ma dokąd i nie ma po co”³⁸ – niewykluczone, że zdanie to najpełniej oddaje swoisty egzystencjalizm Stempowskiego. Być może właśnie wtedy układa sobie słowa, które kiedyś zapisze: *Pod komendą szalonych dyktatorów czy niemniej nieprzytomnych rządów demokratycznych całe narody szły „w karnych szeregach” do nieuniknionych i z dala widocznych katastrof. Nikt nie próbował myśleć samodzielnie, nikt nawet nie uciekał, chyba porwany owczym pędem. Zmiany, jakie zaszły w Europie, niegdyś centralnym laboratorium myśli krytycznej, są tak głębokie, że sami nie dostrzegamy już prawie groteskowości naszego zachowania się*³⁹. W kryjówce przemytników odkrył sens swojego życia: *Losowi mogłem się opierać tylko starając się wszędzie być sobą*⁴⁰.

A to wszak jego idée fixe: niepodległość myślenia niecofająca się przed żadną ofiarą. Stąd brała się jego mądrość – i jego dobroć, której tyle pozostawił w tysiącach listów. Tylko taki mógł okazać się idealnym korespondentem dla Jerzego Giedroycia, ponieważ w kwestii najważniejszej (bo różnili się w drobnostkach – Giedroyc miał sentyment do Piłsudskiego, a Stempowski nie) był jego porte-parole. Dla Giedroycia Jerzy Stempowski był nie tylko postacią najbliższą (jeśli przyjmiemy, że Mieroszewski pozostawał jedynie „tubą” Redaktora) – tak naprawdę miał w Hostowcu partnera w postrzeganiu Europy jako miejsca, gdzie już „nikt nie próbował myśleć samodzielnie”. Wydaje się nawet, że Stempowski czasami podsuwał „Kulturze” kierunek, a przynajmniej go pre-

³⁶ Tenże: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec* (w:) tegoż: *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971, s. 112.

³⁷ Tenże: *Esej dla Kassandry*, dz. cyt., ss. 36-37.

³⁸ Tamże, s. 42.

³⁹ Tamże, s. 41.

⁴⁰ J. Stempowski: *Księgozbiór przemytników*, dz. cyt., s. 484.

czynował, choćby pisząc do Giedroycia w roku 1952: *W tych warunkach jedyną rzeczą wartą zachodu jest poszukiwanie nowych dróg, którymi moglibyśmy przenieść przez tę powódź trochę odziedziczonych wartości, nie licząc na nikogo*⁴¹. Niekiedy wręcz nie sposób odróżnić Stempowskiego od Giedroycia: *Cokolwiek myślimy o krajowej inteligencji i jej obecnym położeniu, powinniśmy mówić o niej z największą oględnością. Inteligencja ta ma za sobą ogromny dorobek ostatniego dziesięciolecia, od niej zależy częściowo przyszłość kraju i ciągłość jego historii. Ten niewielki wpływ, jaki możemy mieć w kraju, jest możliwy tylko za pośrednictwem inteligencji, do której należą nasi nieliczni czytelnicy krajowi. Jest to nasza jedyna łączność, nasz jedyny partner. Dlatego musimy starać się go rozumieć nawet w jego odach do Stalina i innych rzeczach, których chwalić nie możemy. Do sądenia go i strofowania brak nam tytułów, i to nam od razu przypomną, gdybyśmy sami o tym zapomnieli*⁴². To jest program paryskiej „Kultury” w pigułce, a przy tym tego rodzaju rozumowanie jest kwintesencją poglądów Giedroycia, a słowa przecież są Stempowskiego.

A gdzie jest w tym wszystkim Rosja, do której nigdy nie doszedł nie tylko Kant ze swoim obowiązującym pod każdą szerokością geograficzną imperatywem kategorycznym, lecz także Arystoteles i jego koncepcja prawdy, a przede wszystkim Sokrates, twierdzący, że człowiek dąży do cnoty, o ile dąży do prawdy. Dla Rosjan człowiek zdaje się immanentnie zły, a gardząc człowiekiem, gardzą prawdą. W głośnym eseju *Polacy w powieściach Dostojewskiego*, którego tekst odczytany został publicznie w roku 1931 w Polskim Towarzystwie dla Badań Europy Wschodniej, Stempowski szuka odpowiedzi, dlaczego wybitny rosyjski pisarz ukazuje Polaków – niezmiennie we wszystkich swoich powieściach, gdzie roi się od naprawdę skrzywdzonych, poniżonych, cierpiących Rosjan – zawsze jako fałszerzy i obłudników. Skąd ta pełna złośliwości idiosynkrazja? Stempowski radzi nie dopatrywać się w tym żadnego wątku osobistego, Fiodor Michajłowicz poznał Polaków w czasie własnego zesłania jako takich samych katorżników jak on. A jednak wyróżniali się z tłumu Rosjan – inaczej przeżywali to samo cierpienie. Zdaniem Dostojewskiego – Polacy „cofają się przed akceptacją swego potępienia”. Stempowski tłumaczy to tak: *W oczach Dostojewskiego Polacy jak gdyby uchylają się od istotnego męczeństwa i dlatego właśnie, wbrew pozorom, nie tylko nie zasługują na litość, ale przeciwnie, powinni być zdemaskowani. Polacy reprezentują dla niego najbardziej niebezpieczną, bo schodzącą aż na samo dno katorgi próbę racjonalnego czy mistycznego wytłumaczenia męki potępionych, która w całej twórczości Dostojewskiego ma nosić zasadniczo charakter niczym niewytłumaczony, apelujący do nas swym wiekiustym, niemożliwym do stłumienia protestem*⁴³.

Bohaterowie Dostojewskiego ochoczo się potępiają, ale niczego nie żałują! Najlepszy dowód w Raskolnikowie, mordującym dla pieniędzy samotną wdowę, dzięki czemu Dostojewski sam może dokonać wiwi-

⁴¹ J. Giedroyc, J. Stempowski: *Listy 1946-1969*. T. I. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył A.S. Kowalczyk. Warszawa 1998, s. 186.

⁴² Tamże, s. 401.

⁴³ J. Stempowski: *Polacy w powieściach Dostojewskiego* (w:) tegoż: *Eseje dla Kassandry*, dz. cyt., s. 253.

sekcji dostojewszczyzny: *O, jakże szczęśliwy czułby się, gdyby mógł winić sam siebie, mógłby wówczas znieść wszystko, i hańbę, i wstyd. Sądząc sobie surowo w swym rozdrażnionym sumieniu, nie znajdował w przeszłości swej żadnej straszliwej winy, chyba tylko prostą omyłkę, która mogła się zdarzyć każdemu. Wstyd mu było właśnie tego, że on, Raskolnikow, zginął tak ślepo, beznadziejnie, głucho i głupio, z wyroku jakiegoś ślepego losu*⁴⁴. A przecież – *Raskolnikow klęka na skrzyżowaniu ulic i przyznaje się*⁴⁵. Korzy się – ale nie żałuje! Zabił – lecz czuje się niewinny!

Wszyscy bohaterowie Dostojewskiego z uporem maniaka powołują się na los i zdaje się to być słowo kluczowe dla zrozumienia Rosji. Weźmy tekst Wittlina *Gorgułow i Pan Bóg*, napisany w roku 1932, wkrótce po tym, gdy rosyjski emigrant Paweł Gorgułow na paryskich targach książki zastrzelił prezydenta Francji Paula Doumera. Po czym z aresztu napisał do wdowy list, liczący dziesięć zdań, gdzie wybijają się dwa wątki. *Szanowna Pani! Bóg mi świadkiem, że nie chciałem zabijać męża Pani. Straszny los zabił małżonka Pani, a zarazem i mnie, który jestem ślepym narzędziem losu. (...) Modłę się do Boga, wielkiego Boga, który stworzył słońce, ziemię i ojczyznę. Moja ojczyzna niestety nie żyje. Rosja narodowa nie istnieje, biedny lud rosyjski cierpi pod jarzmem międzynarodowego komunizmu*⁴⁶. Jest tu więc znowu dziwne pomieszanie losu i ojczyzny. Być może dałoby się to uprościć i eksplikować słowa Gorgułowa tak: los „Matuszki Rosji” jest niewątpliwie dramatyczny, jednak winę za to ponoszą nie sami Rosjanie, ale oczywiście Europejczycy. Komunizm bowiem był ideą zachodnią, a więc on, Gorgułow – któremu los wcisnął do ręki rewolwer – mści się za zniewoloną Rosję, obarczając winą za ten stan rzeczy Zachód, a Francję w szczególności. Primo, wymyśliła coś takiego jak rewolucja i komunardzi, a secundo – pozostaje ciągle „najstarszą córą Kościoła” (obecnie najmłodszą córą Proroaka, o czym pisze od dawna Houellebecq), a tym samym całego chrześcijaństwa, przez co wciąż uzurpuje sobie prawo do przewodniej roli w świecie, narzucając mu swoją koncepcję Boga, którego – Gorgułow mógłby powtórzyć za *Biesami* Dostojewskiego – Francuzi pomylili z diabłem! (*Rzym głosił takiego Chrystusa, który uległ trzeciej pokusie diabła – powiada w powieści Dostojewskiego Stawrogin*⁴⁷). Dla Rosjan naprawdę święta pozostaje jedynie Ruś, czyli właśnie „ojczyzna”, którą ten typowy Rosjanin inkorporował do Pisma Świętego (naturalnie słowo to nigdzie się tam nie pojawia).

Wittlin przytacza fragment jeszcze jednego listu, tym razem napisanego przez Dostojewskiego do przyszłego cara Aleksandra III, gdzie autor *Idioty* poddaje krytyce zachodnie aspiracje Rosjan, uzasadniając swoje stanowisko następująco: *Najstraszniejsze jest to, że w chwili gdyśmy dumnie nazwali się Europejczykami, musieliśmy zrezygnować z rosyjskości*⁴⁸. W świetle powyższego zdania perora Szatowa z *Biesów*

⁴⁴ F. Dostojewski: *Zbrodnia i kara* (cyt. za J. Stempowski: *Polacy w powieściach Dostojewskiego*, dz. cyt., s. 250).

⁴⁵ J. Stempowski: *Polacy w powieściach Dostojewskiego*, dz. cyt., s. 250.

⁴⁶ J. Wittlin: *Gorgułow i Pan Bóg* (w:) tegoż: *Orfeusz w piekle XX wieku*, dz. cyt., s. 93.

⁴⁷ Cyt. za tamże, s. 98.

⁴⁸ Cyt. za tamże.

nabiera charakteru tyleż publicystycznego, co mesjanicznego: *A wie Pan, jaki naród w tej chwili jest jedynym narodem, w którym zamieszkała światłość boża? Jedynym narodem, powołanym do odnowienia i zbawienia świata w imię nowego Boga? Jedynym narodem, któremu powierzone zostały klucze nowego życia i nowego słowa? Czy wiadomo Panu, który to naród i jak się nazywa?*⁴⁹. Tutaj wypadałoby cytata zakończyć, ale postawmy kropkę – „Rosjanie!”. Ambicje Rosjan od tamtego czasu wcale się nie umniejszyły – czy nie dlatego właśnie na kilka tygodni przed barbarzyńską inwazją na Ukrainę Putin uroczyście otworzył Muzeum Dostojewskiego w Moskwie? I złożył tam bardzo przemyślaną deklarację: *Dziękuję organizatorom oraz idealistom za zachowanie pamięci o Fiodorze Michajłowiczu Dostojewskim, genialnym myślicielu i patriotcie Rosji*. Taka enuncjacja w księdze pamiątkowej świetnie pokazuje rosyjski „idealizm” jako synonim patriotyzmu. W pewnym sensie ten „patriotyzm” zmusza Rosjan do dzielenia się swoim idealizmem, a tak już jest, że Rosjanie zawsze najchętniej dzielą się tym, czego nikt (a oni sami w szczególności) nie pragnie.

Nawet jeśli prawdziwe jest sławne zdanie Stendhala o powieści jako lustrze przechadzającym się po gościńcu, to Dostojewski jest jednak powieściopisarzem i poniekąd wymyślił Raskolnikowa, natomiast Gorgułow naprawdę zabił, a jego list nie pochodzi z utworu literackiego, lecz z akt policji. Gorgułow jakby wyszedł z Dostojewskiego – przyznaje się do zbrodni wobec całego świata, ale nie bierze za nią odpowiedzialności. Więc znowu los... Nie ma moralności, filozofii, religii – jest dostojewszczyzna, czyli wiecznie krzywdzona przez wszystkich i przez samą siebie Rosja. Po zakończeniu II wojny światowej, jako jedyny faktycznie liczący się gracz w Europie, Rosja (a z nią wiecznie tam żywy Dostojewski) bierze odwet. Nigdy nie miała lepszej prasy na kontynencie, ponieważ połowa Europejczyków zdecydowała się podzielać jej „idealizm”. Na szczęście zaprawiony w analizach Dostojewskiego Stempowski widzi Rosję taką, jaką była zawsze. Nikt w naszym piśmiennictwie nie patrzył na nią trzeźwiej, dostrzegając zarazem intelektualny paraliż zachodnich elit, niepotrafiących już wyciągać wniosków z klasycznych tekstów swojej kultury, odpowiadających na wszystkie dzisiejsze pytania.

Ludzie naprawdę przywiązani do wartości europejskich, do ducha Europy, bez względu na to, czy są liberałami, Żydami czy chrześcijanami, jeśli przyszło im żyć na pograniczu, nigdy nie mają złudzeń wobec „niedźwiedzia ze wschodu”. Stąd ich powołaniem pozostawało zawsze tłumaczenie Rosji Europejczykom, a tutaj okazał się Stempowski najmniej podatny na złudzenia żywione przecież przez Czapskiego, a niekiedy i Giedroycia. Dekonstruował mity żywe do dziś z przenikliwością kogoś zabezpieczonego na wszelkie wmówienia, nie ulegając żadnym przyjętym z góry założeniom, zwłaszcza tym płynącym z naiwności: *Mit „innej Rosji” jest arcydziełem sowieckiej propagandy, istotnym elementem dyplomacji Kremla. W latach dwudziestych Francja i Czechy (Benesz) postanowiły w Lidze Narodów bronić interesów tej „innej Rosji”, z którą, po ewentualnym upadku czy ewolucji bolszewizmu, pragnęli odnowić*

⁴⁹ Cyt. za tamże.

najlepsze stosunki. Przez pewien czas sprawa tej nieoficjalnej reprezentacji interesów „innej Rosji” była jednym z głównych przedmiotów rozmów w kulisach Ligi, co doskonale pamiętam, bo byłem sam zamieszany w te intrygi. Można sobie łatwo wyobrazić, jakie korzyści czerpała dyplomacja sowiecka z opieki, jaką Zachód otaczał domniemane interesy „innej” czy „przyszłej” Rosji, pokrywające się przeważnie całkowicie z interesami rządu sowieckiego⁵⁰.

Chciałoby się cytować Stempowskiego całymi stronami, bo jego słowa nic nie straciły na aktualności i ukazują sprawy w ich okrutnej nagości, więc jeszcze jeden, już ostatni, dłuższy fragment, najwyborniejszy: *Politycy Zachodu są zamknięci w konwencjach podobnych do brydżowych, że np. karo jest starsze od trefli, a piki od kierów, i rozgrywają między sobą finezyjnie małe, a czasami nawet wielkie szlemy. Co jednak się stanie, kiedy spotkają faceta, który na finezjach brydżowych się nie zna, w karty w ogóle nie gra, chyba w stukulkę, ale za to strasznie łaje po matce? (...) Jak się w takich wypadkach zachować – tego nikt zachodnich mężów stanu nie uczył, być może i sami się nad tym nigdy nie zastanawiali. Nie zastanawiali się nad tym i ci, którzy ich na wysokie urzędy wybierali. Każdy, kto z nimi staje do rozmowy, musi uznać, że piki są starsze od kierów. A jeżeli nie chce? Nikt dotąd nie przewidział, co wówczas należy zrobić ani co należy powiedzieć, jakkolwiek sytuacja ta trwa już blisko 20 lat⁵¹. Stempowski napisał to w roku 1960, a chociaż od tego czasu minęło już kolejne sześćdziesiąt lat, ciągle tkwimy w tym samym miejscu. Nawet wysiłki Giedroycia z Czapskim, aby odnaleźć w Rosji ludzi podzielających ich europejskie marzenie o jedności kontynentu (z Rosją!), z niezawisłą Ukrainą, Białorusią i Litwą, żadnych trwałych efektów nie przyniosły.*

Wśród tysięcy zaczerpionych przez Stempowskiego stronic, prawie zawsze rzucających nowe światło w pozorny chaos wydarzeń, zauważmy jedno zdanie bardziej niż skromne: *Narodziny i początki „Kultury” przypadły na lata niepewności i trwogi, jakich nie widziano w Europie od czasów najścia barbarzyńców i upadku cesarstwa rzymskiego⁵². Zdanie z podobnie wielkim kwantyfikatorem mógł napisać po polsku tylko Stempowski, w którym zaprzyjaźniony z nim Tymon Terlecki widział „ostatniego Polaka ze świadomością śródziemnomorską”. Ono najpierw zdaje się przesadą, jednak gdy przyjrzeć się doświadczeniom piszącego je człowieka, zdolnego do widzenia teraźniejszości oczami przeszłości, nie okaże się wcale przeszarżowane. Stempowski sam był bowiem zaskoczony skalą owego grandi paure (wielkiego strachu) we Włoszech, we Francji, w Hiszpanii – wszędzie tam spodziewano się wejścia wojsk sowieckich, budzących przerażenie, choć nie miano w Europie pojęcia, czym naprawdę jest russkij mir. Nawet w spokojnej i bogatej Szwajcarii magazynowano benzynę, by w razie czego przedostać się do hiszpańskiej granicy. Na własne oczy Stempowski widzi w oczach innych Europejczyków zarzewie paniki: *Z godziny na godzinę oczekiwano**

⁵⁰ J. Giedroyc, J. Stempowski: *Listy 1946-1969*. T. II, dz. cyt., s. 64.

⁵¹ Tamże, s. 118.

⁵² J. Stempowski: *Od Berdyczowa do Lafitów*. Wołowiec 2001, s. 513.

wiadomości, że zmasowane na Węgrzech wojska sowieckie przekroczyły granicę i przez Lombardię posuwają się w kierunku Hiszpanii⁵³. Tak czuli się aż do roku 1949 mieszkańcy zachodniej Europy, od czasów najazdu Alaryka nieprzeżywający podobnej sytuacji. A przecież znacznie gorszy był los uchodźców z Europy Wschodniej; włoski urzędnik ostrzega Stempowskiego przed wizytą w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Uchodźcom: *Gdy się o panu dowiedzą, nazajutrz poselstwo sowieckie zażąda pańskiej ekstradycji jako przestępcy wojennego*⁵⁴. A co ma wspólnego z tym wszystkim Eurypides? Trzeba być – jak Stempowski – chodzącym „analogistą”, aby zobaczyć, że nadspodziewanie wiele.

Po wydaniu przez Brytyjczyków Rosji w czerwcu 1945 roku, na mocy tajnego porozumienia w Jałcie, tysiący Kozaków, których część od razu po drugiej stronie granicy rozstrzelano⁵⁵, w nieodległej perspektywie można było spodziewać się żądania „zwrotu” Ukraińców, Węgrów czy Polaków. Stempowski napisał wtedy do Giedroycia: *Od wielu lat przychodzi mi od czasu do czasu na myśl odświeżenie utworów klasycznych traktujących o emigracji i emigrantach. Niektóre z nich posiadają zdumiewającą aktualność. Czy pod groźbą ultimatum należy wydawać emigrantów? Czy warto dla nich narażać swe stosunki z potężnymi sąsiadami? Te pytania są osnową dramatu Eurypidesa „Heraklidzi”, gdzie wszystkie argumenty za i przeciw są wyłożone w formie dramatycznej, kompletnej i wyostrzonej jak brzytwa. Pytania te były rozważane w głównej kwaterze wojsk amerykańskich w 1945, ale nikt nie zna tam zapewne „Heraklidów”, bo wiele rzeczy potoczyłoby się inaczej. Kiedy Stalin wystosuje wreszcie swe ultimatum do państw zachodniej Europy, zagadnienie Heraklidów będzie – w tej samej formie jak u Eurypidesa – rozważane we wszystkich kancelariach*⁵⁶.

Co można zrobić w tej sytuacji? Hostowiec poznał odpowiedź na to pytanie w kryjówce przemytników nad Cisą: po prostu wrócić do Biblioteki. To głównie po niej się przechadza krokiem „niespiesznego przechodnia”, a jego podróż intelektualna – podobnie jak cała twórczość wielkiego poprzednika wszystkich eseistów, twórcy eseju jako gatunku literackiego, Montaigne’a – prowadzi go do rozpoznania we współczesnych wydarzeniach jedynie wariacji na wciąż ten sam temat, pisanych zza kulis tajemniczą ręką. Historia dziejąca się na jego oczach nie jest niczym więcej jak powtarzaniem się przeszłości, w nowych, acz lekko już przybrudzonych, dekoracjach. Stempowski twierdzi, że choć Europa uniknęła ogniowej próby, należy rozważyć, jakie przy tym poniosła straty: *Warto zastanowić się, jak wyszliśmy ze stanu szoku, w jaki wprawił nas exodus i widok Zachodu, drżącego jak listek w powiewie wielkiego strachu*⁵⁷. Gdy barbarzyńcy stoją u bram Europy, zbyt słabej, by się obronić, za naturalne trzeba uznać przywoływanie Greków

⁵³ J. Giedroyc, J. Stempowski: *Listy 1946-1969*. T. II, dz. cyt., s. 465.

⁵⁴ J. Stempowski: *Od Berdyczowa do Lafitów*, dz. cyt., s. 514.

⁵⁵ Jako jeden z pierwszych napisał o tym Józef Mackiewicz 23 października 1955 roku w londyńskich „Wiadomościach”. Później autor *Drogi donikąd* poświęcił tym wydarzeniom wydaną u Giedroycia w 1957 roku powieść *Kontra*.

⁵⁶ J. Giedroyc, J. Stempowski: *Listy 1946-1969*. T. I, dz. cyt., s. 175.

⁵⁷ J. Stempowski: *Od Berdyczowa do Lafitów*, dz. cyt., s. 519.

i Rzymian – jedyne punktu odniesienia dla ludzi mających wspólną przeszłość i doświadczających apokaliptycznego strachu.

Tymczasem klasycy coraz mniej istnieją w świadomości przeciętnego Europejczyka, a wraz z ich odejściem także łacina stała się martwym językiem. Czy nie przekłada się to na obraz współczesnej wojny Rosji z całą Europą (a raczej grecko-rzymską europejskością), kiedy to krew przelewają Ukraińcy, znający Rosję najlepiej – wiedząc doskonale, przed czym się bronią, nawet jeśli nie są do końca świadomi, czego bronią. A przecież, paradoksalnie, pisząc cyrylicą, bronią „łaciny”, będącej synonimem wolności, tak zawsze przez Ukraińców gloryfikowanej, nawet jeśli pojmowali ją nieco inaczej niż „łacinnicy”. Wittlin nie ma jednak wątpliwości, że nie wystarczy samo tylko wypowiedzianie łacińskich zdań – trzeba myśleć „po łacinie”. Stempowski, notabene zawsze i we wszystkim proukraiński, znajdował podobne analogie już w latach 50.; 27 lutego 1956 roku, jeszcze przed Gomułką, napisał do Redaktora: *Jeżeli Polacy nie sowietyzują się w obecnej sytuacji, wynika to głównie stąd, że mają inną przeszłość, że są innej formacji od Moskali i że przed 150 laty jeszcze łacina była ich językiem urzędowym. Przed 20 laty rolę łaciny zrozumieli Ukraińcy, jakkolwiek ich związek z łaciną był bardziej luźny – i stąd powstał ich Parnasizm. Zrozumiano też to w GPU i stąd dzikie represje przeciw parnasistom*⁵⁸. Dzisiaj Ukraińcy przechodzą przyspieszony kurs „łaciny” – może za ich przykładem pójdą kiedyś zachodni Europejczycy, obecnie robiący wrażenie całkowicie nieświadomych, że Rosja wyciągniętą do siebie rękę bierze zawsze za oznakę słabości. Rosjanie bowiem nie uczą się łaciny, a ci nieliczni, którzy ją znali (Bułhakow, Mandelsztam, Szestow, Brodski), przez co od razu stawali się odporni na klangor władzy, skończyli w łagrze albo na emigracji.

Łacina – pisał zakochany we Lwowie Wittlin – *to szczepionka, którą otrzymaliśmy w dzieciństwie, nie wiedząc, czy, kiedy i przeciw jakiej przyda się nam zarazie. Szczepionka – powiedzmy, przeciw zdziczeniu. Podobno niektórzy oficerowie SS zatrudnieni w obozach eksterminacyjnych w chwilach wolnych od zajęć czytali sobie liryki Catulla, Tibulla i Propertjusza*⁵⁹. Wśród naszych XX-wiecznych pisarzy Wittlin był z pewnością najbardziej wyczulony na zagrożenia, jakim łacina z konieczności podlegała w świecie totalitarnym. Z przerażeniem obserwował, że i ona ulega znieprawieniu, w ustach nowoczesnych sofistów zdolna do usprawiedliwienia każdej zbrodni. W czasach, które sam jeszcze pamiętał, *nie mógł w galicyjskich miastach i miasteczkach „rekomendować” listów na pocztę ani nadawać depeesz, ani podatków ściągać z bliźnich człowiek, który nie czytał w oryginale liryków, epików i prozaików rzymskich, a także epików, tragiców i filozofów greckich. (...) W zamian za godność cesarsko-królewskiego urzędnika o nader skromnym uposażeniu musiał biedak najpiękniejsze lata swego życia ofiarowywać państwu, które nękało go Owidiuszem, Wergilim, Horacym, Liwiuszem i Tacytem, a nadto – Homerem, Ksenofontem, Platonem i last but not least – Sofoklesem. Takie państwo chlubiło się przynależnością do kultury zachodniej i nieraz w jej*

⁵⁸ J. Giedroyc, J. Stempowski: *Listy 1946-1969*. T. I, dz. cyt., s. 353.

⁵⁹ J. Wittlin: *Novi Eboraci* (w:) tegoż: *Orfeusz w piekle XX wieku*, dz. cyt., s. 299.

imieniu knuło ludobójcze intrygi przeciw innym państwom, które chlubiły się mniej więcej tym samym⁶⁰.

Człowiek pokładający w łacinie największe nadzieje pojął, że treści zamknięte w strofie safickiej, dystychu elegijnym, aleksandrynie i heksametrze to w końcu tylko słowa, które nic już nie znaczą, odkąd w XIX wieku zostały zmielone w – *avant la lettre* – „postmodernistycznym” worku, a potem były stamtąd wyciągane na chybił trafił przez „dadaistów” we frakach i generalskich mundurach. Najboleśniej goryczy doświadczył Wittlin, słysząc ukochaną łacinę, zadomowioną tak samo w ustach Goethego i SS-Standartenführera Kocha: *Patrzymy na dezintegrację wszystkiego, co w starym świecie Weimaru i Buchenwaldu (...), Luwru i obozów koncentracyjnych (...) uchodziło za dobry smak w dziedzinie wysłowienia. Stanęliśmy jak gdyby na ostatecznym rozdrożu, gdzie trzeba wybierać albo piękny gest i piękne słowo – wraz z kryjącym się pod nim fałszem, obłudą i okrucieństwem, albo też za cenę wyrzeczenia się tych piękności przyjąć surową, kwakerską, niekiedy purytańską prawość – i ratować to, co w nas jeszcze jest do uratowania*⁶¹. A więc Ameryka, zalotna niczym nimfa Kalipso, u której lwowski Odyseusz postanowił zamieszkać. Czy jednak odyseja ma sens bez powrotu do Itaki?

Jest w tym coś zagadkowego, że najliczniejszą grupą asymilującą się w USA okazali się chłopci urodzeni w cieniu greckich świątyń w Paestum, palermitańczycy żyjący w otoczeniu normańskich kościołów, mieszkańcy Neapolu z grobowcem Wergiliusza i ci, co przyszli po nich z renesansowego Lwowa, z barokowego Wilna... Wittlin, będący jednym z ostatnich, próbuje własną odyseję, niezwieńczoną powrotem do Itaki, zracjonalizować: *Niejedyn humanista z Europy, niejedyn filolog klasyczny zawdzięcza życie oraz nowy warsztat pracy w Stanach Zjednoczonych – lekceważącym piękne języki i piękne formy „bãrbarzyńcom”, którzy z narażeniem własnego życia wyciągali go z otchłani poniżenia, położonych nad Morzem Śródziemnym i po brzegi tego morza przesiąkniętych łaciną*⁶². *Gwizdzą oni na wszelkie gramatyki i prozodie. (...) Humanizm obrzãdku amerykańskiego zasadza się na przewyciężeniu głodu, chłodu i brudu i na dążeniu wszystkich do zachowania lub do zdobycia tego właśnie, co twórcy humanizmu europejskiego rozumieli przez – godność człowieka. Czyż w pismach autorów starożytnych nie chodzi o nią przede wszystkim?*⁶³

Rzym splądrowany przez Alaryka, najazdy Mongołów, Europa zalana przez barbarzyńców Josifa Wissarionowicza, a teraz naśladowca Dżyngis-Chana Władimir Władymirowicz Putin – czy to nie to samo? A więc tak samo trzeba za każdym razem ratować to samo przed tym samym. Ponawiany w każdym wieku powrót do Tukidydesa, Polibiusza i Herodota, a w naszym stuleciu do Stempowskiego, Wittlina i Vincenza jest jedyną odpowiedzią na inwazje nomadów przybywających na kontynent w końskich zalotach. A tym samym wiecznym powrotem

⁶⁰ Tamże.

⁶¹ Tamże, s. 301.

⁶² Tamże.

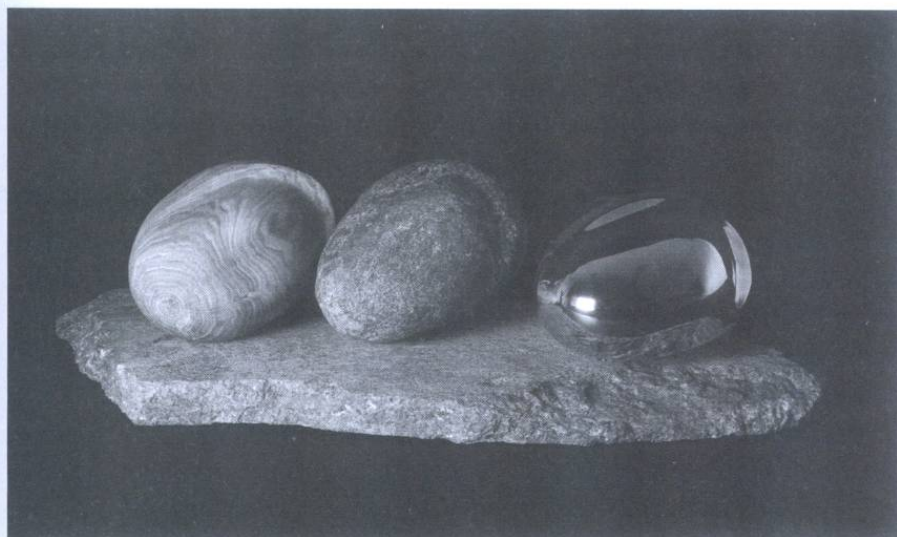
⁶³ Tamże, s. 303.

do świętej księgi europejskiej kultury, której uosobieniem pozostaje Penelopa czekająca na Odyseusza. Penelopa w dzień tka, a w nocy to, co utkała, pruje po to, aby zyskać na czasie. I doczekać powrotu pierwszego wśród Greków, nawet jeśli miałby się okazać ostatnim Europejczykiem.

Lukasz Marcińczak

Bibliografia

- Cichocki M.A.: *Północ i Południe. Teksty o polskiej kulturze i historii*. Warszawa 2018.
- Fotografie pamięci. Z Elżbietą Wittlin Lipton rozmawia Wojciech Waliszewski*. „Kurier Plus” 2005 (17 grudnia).
- Giedroyc J., Stempowski J.: *Listy 1946-1969*. T. I i II. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył A.S. Kowalczyk. Warszawa 1998.
 - Giedroyc J., Wittlin J.: *Listy 1947-1976*. Opracowali, wstępem i przypisami opatrzyli R. Habielski i P. Kądziała. Warszawa 2017.
- Miciński B., Stempowski J.: *Listy*. Oprac. A. Micińska, J. Klejnocki, A.S. Kowalczyk. Wprow. H. Micińska-Kenarowa, K. Régamey. Warszawa 1995.
- „Pan Jerzy”. *Śladami niespiesznego przechodnia. Wspomnienia i szkice o Jerzym Stempowskim*. Red. J. Timoszewicz. Warszawa 2005.
- Ostatnie lato w Maisons-Laffitte. Jerzy Giedroyc, Zofia Hertz, Henryk Giedroyc, sierpień 2000 r. – listopad 2001 r.* Rozmawiała i oprac. H.M. Giza. Wrocław 2007.
- Polski esej literacki. Antologia*. Wstęp i opr. J. Tomkowski. Wrocław 2018.
- Stempowski J.: *Eseje dla Kassandry*. Opr. i notą edytorską opatrzył J. Timoszewicz. Warszawa [2020].
- Stempowski J.: *Listy*. Słowo wstępne J. Kott, W. Karpiński. Posł. A.S. Kowalczyk. Wybór i red. B. Toruńczyk. Warszawa 2000.
- Stempowski J.: *Od Berdyczowa do Łafitów*. Wołowiec 2001.
- Stempowski J.: *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971.
- Stempowski J.: *Zapiski dla zjawy oraz Zapiski z podróży do Delfinatu*. Tekst ustalił, przeł. i posł. opatrzył J. Zieliński. Przedm. W. Karpiński. Warszawa 2004.
- Vincenz S.: *Barwinowy wianek*. Londyn 1979.
- Vincenz S.: *Po stronie pamięci. Wybór esejów*. Paryż 1965.
- Wittlin J.: *Orfeusz w piekle XX wieku*. Paryż 1963.
- Wittlin J.: *Święty Franciszek z Asyżu*. Il. D. Łoskot-Cichocka. [Posł. opatrzył P. Kądziała]. Warszawa 1997.



Danka Jarzyńska: *Hommage à C.B.*, drewno, brąz, kamień polny,
67 x 29 x 19 cm, 2017